

je recytować. Pamiętam, że podczas zakończenia roku szkolnego deklamował wiersz Staffa „Dwa wiatry”. Jednakże podczas rocznic świąt komunistycznych zmuszony był recytować wiersze Broniewskiego, m.in.: „Towarzyszu więziennej celi”, „Na śmierć rewolucjonisty” itp. Z perspektywy lat oceniam angażowanie go przez nauczycielki do recytacji tego rodzaju utworów za co najmniej nietakt...

Obydwa należeliśmy do funkcjonującej przy naszej szkole drużyny „Zuchów”. Każdy „Zuch” chciał mieć różniczkę, były one jednak wtedy bardzo drogie i tylko nielicznych rodziców stać było na ich zakup. Andrzej przychodził na zbiórki z przytroczonym do paska niewielkim kordzikiem w metalowej pochwie, którego rękojeść miała okładziny wykonane z jeleniego rogu. Bawił się nim także czasami w domu. Kordzik ten mógł być pamiątka po ojcu, gdyż przedwojenni oficerowie lubili tego rodzaju gadżety. Być może pamiątką po Łukaszu był także stary męski rower. Andrzej czasami na nim jeździł. Później, gdzieś na przełomie lat 50 i 60, by podreperować rodzinny budżet, Ciepłiński ten rower sprzedali.



Wrzesień, 1955 r. Koledzy z podwórka

Dalsze losy Ciepłińskich

Na początku lat 60-tych moje kontakty z rodziną Ciepłińskich uległy pewnemu rozluźnieniu. Złożyło się na to kilka przyczyn. W pierwszym rzędzie było to związane z zabraniem nam w 1962 roku domu pod budowę dworca PKS. Przydzielono nam mieszkanie przy ówczesnej ulicy Obrońców Stalingradu (obecnie Hetmańskiej), a ciotkom i stryjkowi przy ul. Grottgera. A że Jadwiga Ciepłińska przyjaźniła

się z moją ciotką, przychodziła teraz głównie do niej, a do nas raczej sporadycznie. Dodatkowo, po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczęliśmy naukę w dwóch różnych liceach, ja w Nr 1 przy ul. 3-go Maja, a Andrzej w Nr 2 przy ul. Turkienicza.

Odwiedzałem wprawdzie nadal Andrzeja w jego domu, ale już znacznie rzadziej niż uprzednio, a Panią Wisię spotykałem głównie wtedy, gdy bywałem u ciotki, a ona przebywała u niej z wizytą. Andrzej starał się wszelkimi sposobami pomagać finansowo swojej matce, m.in. udzielając korepetycji mniej zdolnym uczniom. Dodatkowo, około połowy lat 60-tych, jako jeden z pierwszych fotografów-amatorów w Rzeszowie, rozpoczął wykonywanie odpłatnie zdjęć kolorowych, co chyba jednak nie przynosiło mu większych dochodów. We wspomnianej wcześniej wniecie w pokoju urządził ciemnię fotograficzną. Nie wiem skąd miał profesjonalny jak na tamte czasy aparat fotograficzny, który wtedy kosztował kilka tysięcy złotych, a także powiększalnik, kuwety itp. Osoba będąca szkolną koleżanką Andrzeja gdy pobierał nauki w LO Nr 2 mówiła mi, że Andrzej czę-

sto był głodny. Zauważył to jeden z nauczycieli i wspomagał go w różny sposób, m.in. przynosząc mu do szkoły drugie śniadania.

Pomimo skrajnej biedy, Rodzina Ciepłińskich starała się w miarę możliwości korzystać z dóbr kultury. Stąd też co jakiś czas Jadwiga Ciepłińska udawała się z Andrzejem do pobliskiego Teatru im W. Siemaszkowej. Kupno biletów musiało się dla nich wiązać z wielkim wyrzeczeniem, choć możliwe jest także, że przekazywał im je za darmo jakiś znajomy aktor lub inny pracownik Teatru. Szczególnie lubili spektakle wystawiane na „Małej Scenie”. Jednym z pierwszych spektakli, jaki tam wystawiono po jej otwarciu była sztuka jakiegoś radzieckiego dramaturga nosząca chyba tytuł „Twój brat Abel” lub coś w tym rodzaju. Gdy kilka dni później odwiedziłem Andrzeja w jego domu, zarówno on, jak i jego mama wyrażali się o tej sztuce w superlatywach, podkreślając głęboki humanizm jej autora. Było to dla mnie zaskoczeniem, gdyż w tym czasie byłem głęboko uprzedzony do wszelkich wytworów kultury powstałych w Związku Sowieckim i ludzi, którzy je tworzyli. Dziwi-



Maj, 1956 r. Młodzi towarzysze broni

łem się przy tym, że rodzina, która doznała tyle zła ze strony zbrodniczego systemu komunistycznego może odnosić się z szacunkiem do autora tworzącego i wystawianego w ZSRR.

Człowiek Renesansu

Jak wcześniej wspomniałem Andrzej był wszechstronnie uzdolnionym chłopcem. Prawie z wszystkich przedmiotów uzyskiwał w szkole bardzo dobre oceny, ale z powodu ciągłych chorób zmuszony był powtórzyć klasę maturalną. Po zdaniu w 1966 roku matury, Andrzej rozpoczął studia w rzeszowskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej gdzie był w jakiś sposób szykanowany i zapewne z tej przyczyny przeniósł się do rzeszowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie studiował na kierunku „Wychowanie Techniczne”. Zetknął się tam z moją siostrą Lucyną.

- W roku akademickim 1970/71 na trzecim roku studiów pojawił się nowy student. Od razu rozpoznałam w nim Andrzeja Ciepłińskiego, którego zapamiętałam z dzieciństwa, ale nie widziałam go od kilku lat. Zaczepiłam Andrzeja i przypomniałam mu się, chętnie nawiązał rozmowę – wspomina po latach moja siostra.

Od tego czasu Andrzej znów zaczął częściej bywać w naszym domu. Chyba ostatni raz widziałem go na imieninach siostry, na których było także kilka koleżanek i kolegów z ich roku.

- Zdarzało mi się bywać u Andrzeja w domu. Jego mama – Pani Wisia, bardzo serdecznie mnie przyjęła. Była bardzo miłą, dobrą osobą, bez pretensji do świata. Andrzej nie utrzymywał z nikim bliższych stosunków, nie był rozrywkowy, nie mieszkał w akademiku, nie bywał tam, nie miał czasu na zabawę – wspomina Lucyna.

Również ona zachwycona była wszechstronnymi zdolnościami Andrzeja, którego bez przesady określić można było jako „Człowieka Renesansu”.

- Uczyliśmy się razem do egzaminów z pedagogiki, historii wychowania, filozofii oraz ekonomii. Moje wielkie zdumienie wywoływała fenomenalna

pamięć Andrzeja i umiejętność dostrzegania rzeczy ważnych podczas korzystania z zadanej nam lektury. Mieliśmy przedmiot Metodyka wychowania technicznego. Ćwiczenia prowadził młody asystent. Na każde zajęcia zadawał nam do przeczytania kilka tekstów i potem robił z nich kartkówki. Magister zadawał bardzo szczegółowe pytania. Trzeba było umieć odpowiedzieć konkretnymi zdaniami z przeczytanych lektur. Ja każdą książkę czytałam, podczas czytania robiłam notatki, potem w domu jeszcze kilka razy je przeglądałam. I nigdy nie udało mi się odpowiedzieć na wszystkie pytania. A Andrzej niczego nie notował i tylko on jeden był w stanie odpowiedzieć dokładnie tak, jak wymagał prowadzący zajęcia. To było niesamowite!

Miał przy tym ogromne zdolności manualne. Kiedy przyszedłam do jego domu pierwszy raz, pokazywał mi stare krzesła, które dokładnie czyścił, bo chciał je odnowić i ponownie polakierować. Pomyślałam, że to syzyfowa praca. Krzesła były dość skomplikowane w budowie i samo oczyszczenie ich wydawało mi się niemożliwe. Pomyliłam się, Andrzej te krzesła zregenerował. W trakcie studiów mieliśmy różne pracownie. Między innymi kowalstwo. Każdy z naszej grupy miał wykonać jakiś prosty przedmiot na zaliczenie. Nikomu nie udało się wykuć niczego sensownego, tylko Andrzej się uparł, że zrobi świecznik. Mocno się natrudził. I zrobił. Udało mu się też coś wykonać w pracowni szklarskiej, ale nie pamiętam co to było. Wymagało to jednak formowania z gorącego szkła. Pokazywał mi też paski i kłamry do nich, które zrobił dla swojej przyszłej żony.

Andrzej zajmował się fotografią od dość wczesnych lat. Z dumą pokazywał mi zdjęcia, które zrobił na ślubie Grażyny Marzec i Olgierda Łukaszewicza. Sama też robiłam zdjęcia. Miałam prosty radziecki aparat fotograficzny marki „Smiena”, ale nie miałam ciemni. Andrzej najpierw nauczył mnie, jak się wywołuje film i zdjęcia, a potem udostępnił mi ciemnię i pozwolił korzystać ze swojego powiększalnika i odczyn-